

Z poszanowaniem autora



Maria Peszek (Antygona) i Jerzy Radziwiłowicz (Kreon)

FOT. MICHAŁ SADOWSKI

Reżyserzy wystawiający klasykę na polskich scenach traktują ją, na ogół przedmiotowo i służebnie — jako dogodne pole dla harców własnej wyobraźni, w najmniejszej nawet mierze nie licząc się z autorem i przesłaniem, które zawarł w swym dziele. Mnożą się więc wątpliwej jakości dzieła-hybridy, przykrawane, dekomponowane i naciągane do inscenizatorskiej tezy, po granice możliwości i zdrowego rozsądku. Dlatego też z największą przyjemnością obejrzałem „Antygone” Sofoklesa w reżyserii Zbigniewa Brzozy, która jest współczesnym odczytaniem utworu klasyka, jednakże z pełnym poszanowaniem autora i bez niewłaściwych ingerencji w treść sztuki.

Historia wojny o władzę w starożytnych Tebach jako żywo przypomina wciąż nęcającą naszą planetę konflikty zbrojne, pociągające za sobą krwawe hekatomby. Spływają krwią w bratobójczych walkach Bośnia, Albania, Czeczenia, Algieria, Rwanda... Doniesienia agencyjne przynoszą coraz to nowe informacje o gwałtach, torturach, czystkach etnicznych, o wypalonych miastach i masowych grobach. W różnych punktach naszego globu, chociaż także na południu Europy, o krok do słownie od naszej cywilizacyjnej „kolebki” — Grecji.

W spektaklu Zbigniewa Brzozy bohaterowie Sofoklesa poruszają się w świecie odpychająco nieciekawym. Jakież wryte w ziemię schrony, pokryte zatartymi graffiti. Między dwoma wystrzelającymi ukośnie w górę gigantycznymi betonowymi umocnieniami, migocze ruchomy obraz. To najwyraźniej współczesna projekcja stosów ludzkich trupów. Nie sposób jednak odróżnić z jakiego miejsca na ziemi. Obraz zanika. Tupocząc bosymi nogami wbiega Antygona (Maria Peszek), niby żywe uosobienie wszystkich cywilnych kobiet-ucieknierek z terenu bratobójczych walk. Królewska córka nosi bowiem najprostszą bawełnianą czarną sukienkę, poprzecieraną i wystyrpioną. Tak mogłaby wyglądać sio-

stra jakiegoś czeczeńskiego Polinika albo żona bośniackiego Hajmona (Redbad Klynstra). Kreon (Jerzy Radziwiłowicz) i jego świta to „psy wojny”. W zrudziałych, poszarzałych od ognia i prochu wojskowych płaszczach i panterkach. Poruszają się, jak komandosi: zwinnie, wytrenowanymi tygrysimi skokami.

W ten sposób konflikt między reprezentowanym przez Antygone prawem boskim, które nakazuje grzebać poległych, a prawem stanowionym przez człowieka — Kreona, autorytarnie zabraniającego pochówku zdrajcom, doskonale wpisuje się w realia naszej epoki. Niestety.

Spektakl w Teatrze Studio nie przynosi ról-olśniew. Antygona Marii Peszek nie gra hardego dziewczęcia, któremu konflikt z wujem-władcą dodaje sił. Wygląda raczej na świadomą rzecz, przedwcześnie dojrzałą, zrezygnowaną kobietę, która w pokorze przyjmuje wyznaczony jej los. W jej buncie od początku wyczuwa się załazek cichej rezygnacji. Rola tak ustawiona, jakkolwiek skupioną i konsekwentną, Maria Peszek nie potrafi jednak skutecznie przejąć widzów. Przyzwyczajeni do perfekcji Jerzego Radziwiłowicza, otrzymaliśmy kolejny pokaz rzetelnego warsztatu i... nic nadto. Gabriela Kownacka jako Eurydyka dała zaledwie znak postaci.

W sumie jednak zwartą inscenizację Brzozy ogląda się bez odruchu zniecierpliwienia. W takiej „Antygonie” każdy, bez względu na wiek i upodobania estetyczne, znajdzie dla siebie coś wartościowego, godnego przemyślenia i uwagi. Jeśli potraktować ten spektakl jako chrzest bojowy dyrektora w roli reżysera, to bez wątpienia wypadł on pomyślnie.

JANUSZ R. KOWALCZYK

Sofokles „Antygona”, przekład Antoni Libera i Janusz Szpotański. Reżyseria Zbigniew Brzoza, scenografia Mihal Tchernaev, kostiumy Dorota Kołodyńska, muzyka Henryk Gembalski, ruch na scenie Tomasz Dajewski. Premiera 4 lutego 1998 r. Teatr Studio w Warszawie.